

## W kraju Burów.

Dzisiaj jestem zgrzybiałą już staruszką. — Ile mam lat jednak, nie powiem wam, prawniczki moje, bo jak najmłodsza kobieta, mam na tym punkcie bzika... Byłam już w każdym bądź razie na świecie, kiedy ojciec mój w 1838 roku zabrał się wraz z innymi rodakami pod komendą nieustraszonego Pietera Retief'a do karczowania dziewiczych lasów w ziemi Oranje, ciągnącej się po przeciwległej stronie Wielkiej Rzeki.

Chatka nasza sklecona z gliny i słomy przez ojca mego własnoręcznie, stała w pobliżu dzisiejszej kopalni diamentów. Na południu zaś pozostawiliśmy duży i piękny dom, odstąpiwszy go wzamian za dwa wozy, dwa woły z zaprzęgami i garść pieńdzy.

Matka, trzymając nas na kolanach, opowiadała nam często o naszej wspaniałej farmie, kwitnącej winnicami otoczonej, opisując tak obrazowo nasz stary holenderski dom z gontowym dachem i wysokimi stuletnimi dębami wokoło, że mieliśmy go w oczach nieomal, podczas gdy matka ocierała łzy z twarzy ukradkiem.

— Dlaczego opuściliśmy go, by zamieszkać w tej chałupie? — spytaliśmy, podrostszy.

— Jesteśmy narodem wolnym! — odparła matka, prostując się dumnie i patrząc na nas roziskrzonym wzrokiem.

— Skoro tam, na południu, wśród bogactw i urodzajnej ziemi niema dla nas wolności, musimy szukać jej po drugiej stronie Wielkiej Rzeki, gdzie władza Anglika nie sięga! Hańba tym, którzy wyżej cenią dostatek i wygodę nad wolność swego narodu!

Były to czasy niespokojne i niebezpieczeństw pełne. Pieter Retief wraz z siedemdziesięciu równymi sobie śmiałkami, odłączając się od gromady i zbyt daleko zapędzwszy — aż do „Kraalu“ Dingana króla Zulusów przypłacił wraz z towarzyszami odwagę swą życiem.

Nasze osiedla stały w pobliżu ziem Kafrów, znanych pod nazwą Basuto, lecz żyliśmy mimo to z bożą pomocą długich lat spokoju.

Miałam szesnaście lat, kiedy na wspólnym nabożeństwie, organizowanym w trzy miesiące przez wszystkich farmerów poznałam właściciela niewielkiego folwarku, młodego Jana du Pre, którego energiczny i dobry zarazem wyraz twarzy chwycił mnie od pierwszego wejrzenia za serce. To też nieklamanej doznawałam radości, gdy wkrótce potem złożony nam pierwszą wizytę, odwiedzał nas coraz częściej, zalecając się do mnie wyraźnie. Ilekroć ujrzałam go żądającego ze wzgórz na swym wierzchołku w bluszczowej uprząży, serce skakało mi w piersi.

Kiedy wszakże świeżo z południa przybyły Koos van Aswegen, nabywszy sąsiadującą z nami, nad brzegiem rzeki położo-

ną, dużą i piękną farmę oświadczył się rodzicom o mnie, ulegając ojcu wyszłam za niego zamaż, zadając bolesny cios najlepszemu i najszlachetniejszemu z ludzi. Wkrótce po ślubie przekonałam się, niestety, że życie moje u boku tego bogatego człowieka nie będzie różami usłane.

Koos van Aswegen, jako mąż dopiero co kazał mi prawdziwe swoje oblicze, swój zamknięty w sobie, uparty i gwałtowny charakter. Jedynym celem jego w życiu było ciulanie grosza.

Nie zważając na moją młodość, zmuszał mnie do całodziennej pracy, na skutek czego wychudzona jak szkielet, wyglądałam bardzo blade i mizernie. Taką zobaczył mnie w parę miesięcy potem na nabożeństwie Jan du Pre. Rzuciwszy pełne gniewu spojrzenie na mego męża, — oddalił się, nie zamieniwszy ze mną słowa.

Po roku przyszła na świat córeczka moja Mina, która mi była odtąd jedynym jasnym promykami w życiu.

Miała cztery latka, kiedy Jan du Pre zawiadził się u nas niespodzianie ze złowrobną wieścią: Kafrowie liczną gromadą przekroczyli granicę, opanowując nasz kraj i niszcząc wszystko po drodze. Poruczono Janowi du Pre ostrzec wszystkich farmerów o niebezpieczeństwie i zalecić im, aby uciekali nie zwlekając do wioski J., gdzie kobiety i dzieci znajdują przytułek, mężczyźni zaś broń i amunicję dla odparcia wroga.

— Bóg z wami! — zawołał Jan du Pre na pożegnanie, rzuciwszy okiem ku mnie i popędził do następnej farmy.

— Tchórze! — zagrział Koos van Aswegen za nim. Ja mam opuścić moją farmę? Oddać ją czarnym psom na pastwę? Moje bydło? Moje owce? Moje uprawne pola?

— Co to znaczy? — spytałam, błędąc.

— To znaczy, że zostajemy na miejscu! Z pomocą kilku tubylców, których mamy na służbie, dam sobie radę z murzynami!

Daremnie błagałam, by uciekał copędzej ze mną i dzieckiem. Klnąc na czym świat stoi, trwał uparcie przy swoim postanowieniu.

Czas naglił. Milcząc, udałam się w stronę rzeki, gdzie Mina bawiła się wilgotnym piaskiem w ulubionym swoim miejscu, przy korycie rzeki, doszczętnie omal w owej porze roku wyschniętem.

— Dokąd? — krzyknął mój mąż.

— Po dziecko — odparłam spokojnie, oddalając się od domu powoli. Skoro jednak tylko znikłam mu z oczu, pobiegłam co tchu w piersiach na brzeg rzeki i uchwyciwszy Minę na rękę, rzuciłam się z mym drogim ciężarem do ucieczki, zmierzając we dług wskazówki Jana du Pre w stronę wioski J.

Ale córeczka moja była dużym i tłuściutkim dzieckiem, ja zaś wątłą i pracą fizyczną wyczerpaną kobietą. Na pierwszym więc zakreście postawiłam ją na ziemi, mówiąc:

„Czarni Kafrowie chcą nas zabić; uciekajmy, kochanie!“

Skinawszy główką, bieć zaczęła co sił miała w swych drobnych nóżkach.

Po kilku chwilach jednakże, zmęczona, musiałam wziąć znów ją na ręce.

W połowie drogi dopiero opamiętawszy się, że biegnąc brzegiem rzeki po wilgotnym piasku, zostawiam trop po sobie, zeszałam wyleknioma na kamieniste koryto, gdzie ostre kamyki kaleczyły mi nogi i co krok niemal potykałam się o nie.

Nagle... ciężkie, rytmiczne stapania doszły moich uszu... Scigano nas! Szepcząc: „Boże, zmiłuj się nad nami! Boże, ukryj nas!“

Wlokłam się noga za nogą i jak gdyby w odpowiedzi na moje błagania ujrzałam tuż przed sobą jedną z tych pieczar znanych w naszym kraju pod nazwą „donga“, przez które wody ze wzgórz spływają do rzeki... Nie namyślając się, weszłam z dzieckiem do wnętrza.

Ściany „dongi“ były strome i gładkie. Dojrawszy w jednej z nich małą w gęstwinie zielska ukrytą odnogę, wsunęłam w nią Minę, poczem wślizgnęłam się sama za nią, gotowa zatkać dziecku usta, w razie gdyby miało rozplakać się ze strachu.

Niebawem usłyszałam głosy i kroki zbliżające się ku „dongie“, Mina Bogu dzięki zasnęła mi na kolanach. Przez zieloną firankę ujrzałam kilku Kafrów w pieczarze, rozglądających się po niej. Jeden z nich zatrzymał się o pięć stóp od mojej kryjówki.

Czy nie usłyszysz równego i głębokiego oddechu dziecka?... — zadawałam sobie pytanie, czując wszystką krew zbiegającą mi do serca, podczas gdy barbarzyńca stał jak gdyby zastanawiając się, gdzie mógł się podziać zbieg, za którego tropem szedł dotychczas, poczem wraz z innymi wyszedł z „dongi“.

Kiedy kroki oddalających się ucichły, wysunąwszy się z mej kryjówki, wyrzłam za nimi. Dziesięciu Kafrów z wniesionymi do góry oszczepami szło w kierunku wioski J... Zginęłam więc! Miałam wrogów przed i za sobą, a w pieczarze tak duszno, że niesposób w niej było pozostawać dłużej...

Nagle rozległ się wystrzał. Po nim drugi... trzeci! Cała salwa wreszcie. Szła od strony wioski J...

— Nasi! Nasi! — szepcząc radośnie, chwyciłam dziecko na ręce, wybiegłam resztą sił z dongi i ujrzałam Kafrów uciekających w popłochu przed zwartym szeregiem białych jeźdźców. Krzyknęłam na cały głos, kiedy mijali mnie. Obejrzałam się. Dowódca ich... Jan du Pre... zbawca mój i mego dziecka przycwafował... i nie wiem, co się potem stało, bo wróciłam do przytomności w wiosce J... dopiero w otoczeniu rodaków.

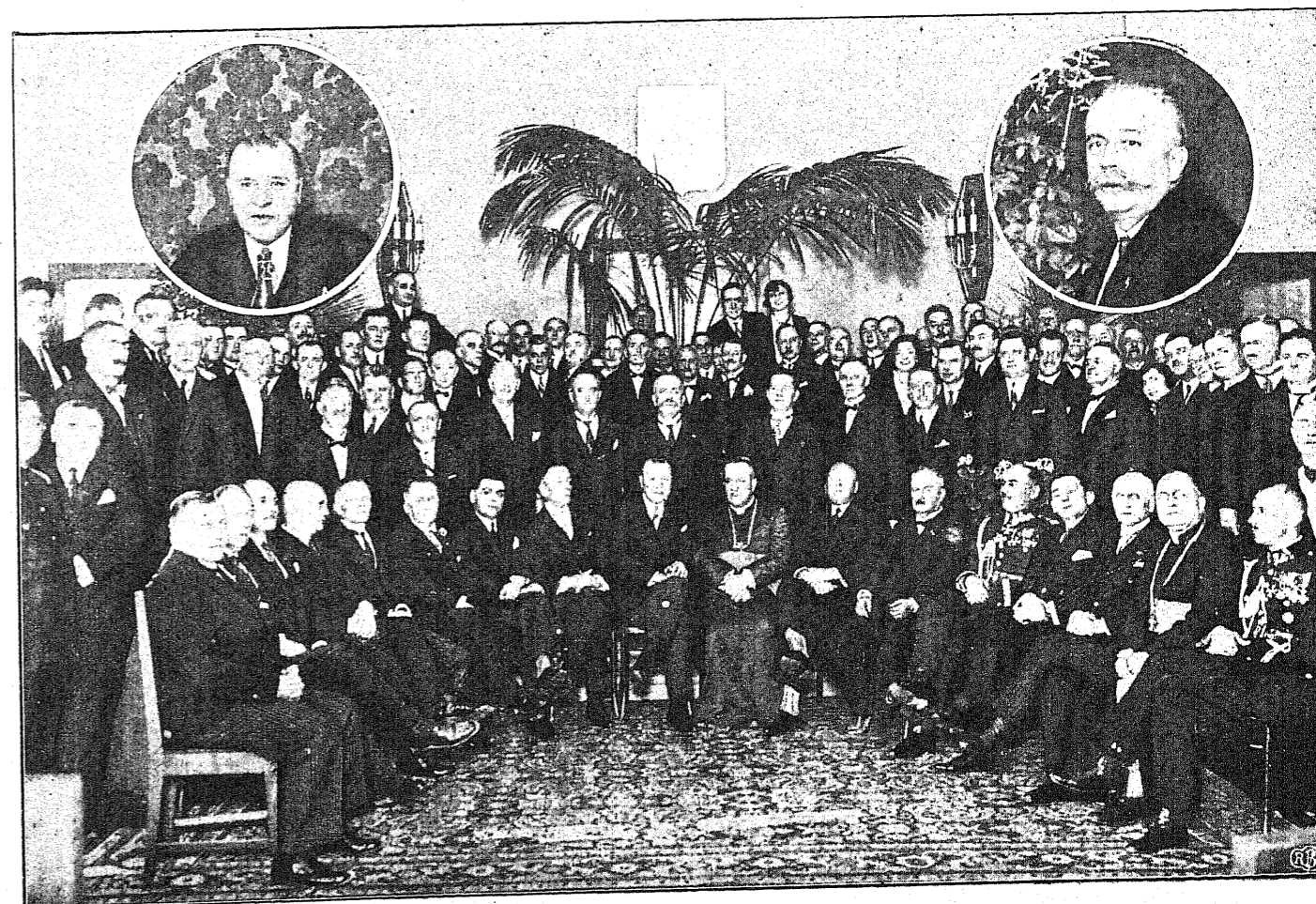
Dowiedziałam się niebawem o losie mego męża; znaleziono go bowiem na podwórzu naszej farmy w okrutny sposób zamordowanego.

W rok potem zostałam szczęśliwą żoną Jana du Pre, ale farmę po Kocsie van Aswegen, noszącą do dziś dnia nazwę Aswengens-Hoek — sprzedałam!

Tłum. Jotsaw.



## Święto Sądownictwa w Łodzi.



W dniu 14 b. m. sądownictwo łódzkie witało w murach naszego miasta wysokiego rzecznika wymiaru sprawiedliwości, p. ministra Cara, który przybył na uroczystość poświęcenia olbrzymiego, monumentalnego, nowego gmachu Sądu Okręgowego, wybudowanego za prezesury p. Stefana Bełżyńskiego, prezesa S. O. w Łodzi. Gmach ten stanął przy zbiegu ul. Narutowicza i Placu Dąbrowskiego. Rozmiarami swymi i wewnętrznym wykończeniem oraz efektywnością zewnętrzną stał się pięknym gmachem reprezentacyjnym. Na zdjęciu powyższym widzimy niezmiernie licznych przedstawicieli sądownictwa, palestry i władz z J. E. ks. biskupem Tymienieckim, p. min. Carem i p. wojewodą Jaszczoltem na czele w jednej z obszernych sal nowej siedziby Sądu. Fot. A. Meyer.

## TEATRALJA.

### Z teatralnej prowincji. — Plany i zamiary. Jubileusz Reinhardta.

Jak zwykło o tej porze, gdy sezon teatralny dobiega schyłku, zarządy miast polskich utrzymujące bądź subwencjonujące teatry, zmuszone są do powzięcia decyzji co do przyszłego sezonu. Tak np. w Poznaniu postanowiono, że operę miasto zatrzyma w zawiadywaniu własnym, co się zaś tyczy t. zw. Teatru Polskiego — zrzeknie się jego prowadzenia, oddając z powrotem w ręce Spółki Teatralnej, która już od r. 1912 wydzierżawia ten teatr p. B. Szczurkiewiczowi. Pragnąc przyjąć z pomocą dyrektora Teatru Polskiego, miasto zamierza udzielić kierownictwu jego subwencji 150.000 zł., co jednak w obecnych warunkach wydaje się sumą zbyt skromną. Ostatnio, pomiędzy Magistratem a Radą Miejską Poznania zarysowały się pewne różnice poglądów co do spraw związanych z przyszłym sezonem teatralnym. Należy jednak mieć nadzieję, że pomiędzy naczelnymi władzami samorządu poznańskiego dojdzie do takiego porozumienia, które umożliwi egzystencję Teatru Polskiego bez zbyteknych, może nie do pokonania trudności finansowych. W związku z zamierzonymi oszczędnościami w operze zajdą pewne zmiany, a — jak iama niesie — szereg artystów i artystek opuszcza z początkiem sezonu Poznań i przenosi się do Lwowa, gdzie teatry miejskie obejmują już definitywnie pp. Zaleski i Czapelski, dotychczasowy administrator teatrów poznańskich. M. m. przenoszą się do Lwowa pp. Przemieniecka, Fontanówna, Szlemfińska, Dudzińówna, Folański, Czarniecki, dyr. baletu — Statkiewicz, dekorator Jarocki itd. Pożegnalną niejako premierą opery poznańskiej w dotychczasowej jej obsadzie było wystawienie „Samsona i Dalila“ Saint-Saënsa, w którym do dzieła zasłużone oklaski zbierają pp. Szafrńska i Czarniecki, jako wykonawcy ról głównych. — Doskonale również wywiązała się z zadania pp. Tyllja — kapelmistrz, Urbanowicz — reżyser i Jarocki — dekorator.

Poznański Teatr Nowy, będący własnością prywatną dyr. Rudkowskiego, rozwija się pomyślnie i zdaje się mieć byt ustabilizowany. Ostatnio w teatrze tym występował gościnnie p. Junosza-Stepowski, witany owacyjnie w kilku swych najlepszych kreacjach („Cezar i Kleopatra“, „Azais“, „Melo“). Obok znakomitego gościa dobrze się zaprezentowały własne, młode siły Teatru Nowego w osobach pp. Cieszkowskiej i Żeromskiej.

Teatry lwowskie, jak już wspomnieliśmy wyżej, objęły — w myśl kontraktu zawartego na 3 lata — pp. Zaleski i Czapelski, przyjmując wszystkie warunki, wysunięte przez komisję teatralną. Teatr Mały, nie należący do zespołu teatrów miejskich, pozostaje pod dotychczasowym kierownictwem. Ostatnio wystawiono w Małym najmniejszą komedię Brunona Winiawera p. t. „Zły Szlag“, uznaną przez krytykę lwowską, a przy najmniej pewną jej część za najślabszy z utworów utalentowanego pisarza. Z ostateczną oceną wstrzymamy się do czasu wystawienia tej komedii w warszawskim Teatrze Narodowym, gdzie ją przygotowuje już na najbliższą przyszłość dyr. Solski. —

Wśród warszawskiej obsady znajdujemy nazwiska pp. Gromnickiej i Jarszewskiej, Kurnakowicza i Orwida.

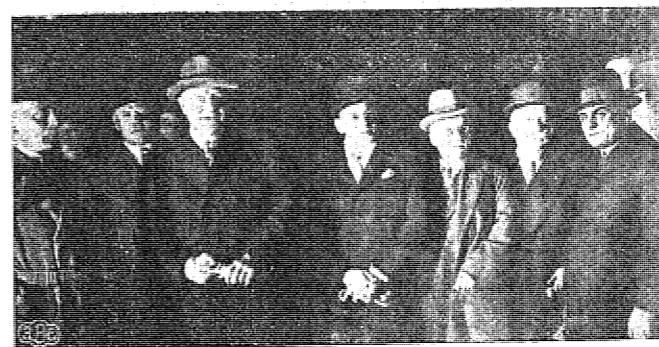
W tych dniach minęło ćwierćwiecze od daty objęcia przez Maxa Reinhardta berlińskiego „Deutsches Theater“, a jubileusz ten obchodzony był uroczystie w sferach teatralnych nietylko niemieckich. Niekomu dziś na święcie, kto choć najbardziej zdala stoi od teatru, nazwisko Reinhardta nie może być obce. Talent Reinhardta odkrył znakomity twórca naturalistycznego teatru niemieckiego Brahm i zabrał 20-letniego młodzieńca do Berlina, gdzie miał zablysnąć jako gwiazda aktorska pierwszej wielkości. Ale karjera Reinhardta jako aktora skończyła się dość szybko niepowodzeniem, mimo wiele obiecujące początki. Rozstawszy się z swym mistrzem Reinhardt prowadził literacką „nadszatkę“ awangardy, potem Teatr Mały, wreszcie staje w r. 1905 na czele „Deutsches Theater“, jako następcę głośnego L'Arronge'a. Niezależnie od tego otwiera własny teatr kameralny, eksperymentuje, organizuje widowiska teatralne na arenie cyrkowej, staje się coraz słynniejszym, coraz bardziej podziwianym, naśladowanym i — zwalczanym inscenizatorem sztuk wszelkich stylów i epok. Właśnie w dziedzinie inscenizacji dał się poznać Reinhardt, jako

artysta i twórca prawie genialny; jeśli nieraz błędził i posuwał się w swym nowatorstwie zbyt daleko, to i te błędy nawet miały w sobie coś z wielkości i natchnienia. Reinhardt zerwał z naturalizmem, choć przejął jego precyzyjną technikę; na pierwszy i główny plan inscenizacji wysunął walory plastyczne, widowiskowe, wizualne; naczelne miejsce w teatrze oddał reżyserowi, którego zadaniem stało się nadać sztuce zdecydowany charakter i styl, — a ogólnej koncepcji reżysera podporządkował bezapelacyjnie pracę i wysiłki wszystkich innych współpracowników. Wielostronność zainteresowań i inscenizacji Reinhardta jest ogromna; w jego działalności reżyserskiej mieści się niemal wszystko, od tragików stałogreckich do Ibsena i Strindberga, od niesterjów średniowiecznych, poprzez Szekspira, Mollera, Schillera, Kleista, Hebbła itd., itd., do Gorkija i Tołstoja. Dzisiaj Reinhardt jest znakomitością światową i dyrektorem kilku teatrów w Berlinie i Wiedniu. Wśród wielu innych zalet artystycznych przypisują mu „szczęśliwą rękę“ w odkrywaniu talentów aktorskich, a jednym z tych doniosłych „odkryć“ jest nie kto inny, jak — Moissi.

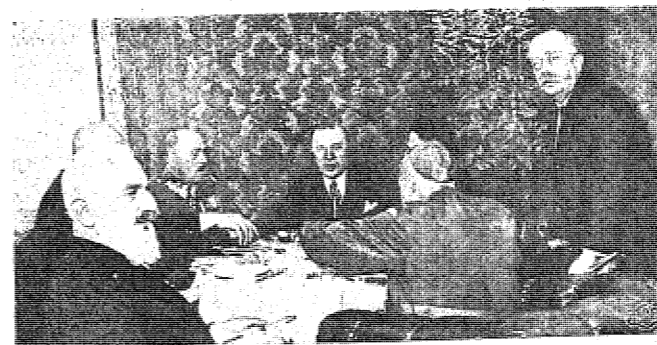
Delta.



Bożyszcze koblet, Ramon Navarro, w swej pierwszej dźwiękowej kreacji p. t. „Pogani“.



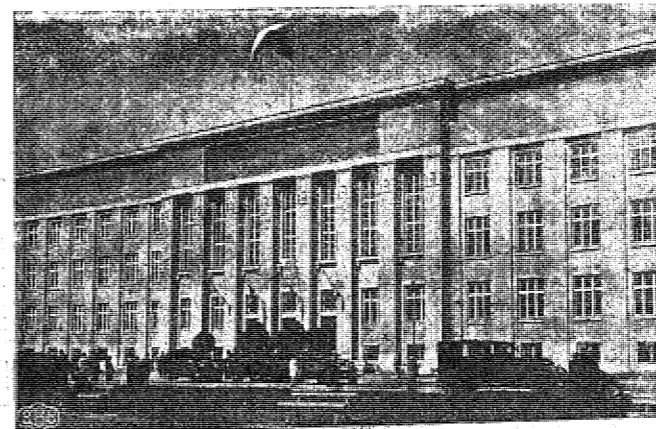
Na powitanie ministra sprawiedliwości p. Cara Łódź czyniła gorączkowe przygotowania. Gość przybył w dniu 13 b. m. o godz. 12 w nocy. Na zdjęciach widzimy od strony lewej moment z przybycia i powitania p. ministra Cara na dworcu Łódź-Fabryczna; na prawo zaś minister Car w otoczeniu przedstawicieli sądownictwa, palestry i władz przed kaplicą w Domu Starców przy ul. Narutowicza. Min. Car rozmawia z prezesem Sądu Najwyższego p. Supińskim.



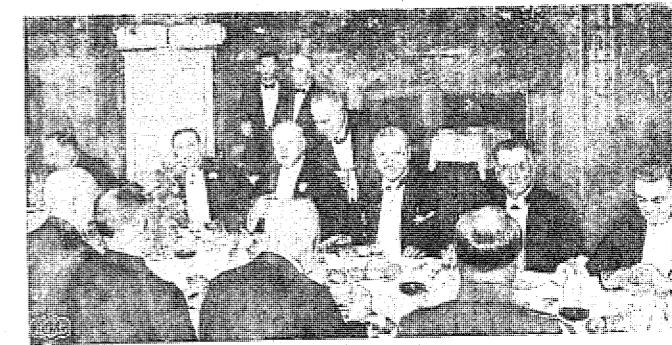
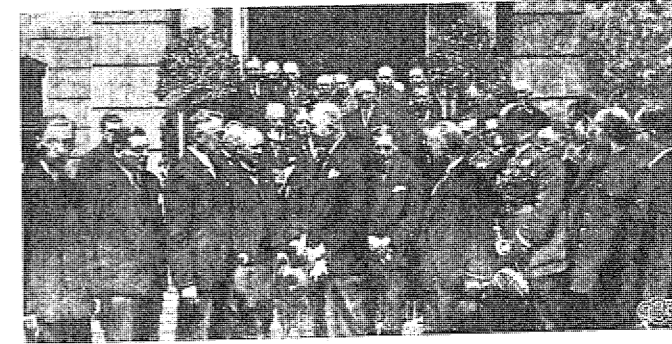
Po uroczystym akcie poświęcenia nowego gmachu Sądu Okręgowego odbyło się w apartamentach Sądu tego śniadanie w którym wzięli udział obok p. ministra J. E. ks. biskup Tymieniecki, prezes S. O. w Warszawie p. Kamieński, prezes S. O. w Łodzi p. St. Belżyński, gen. Małachowski.



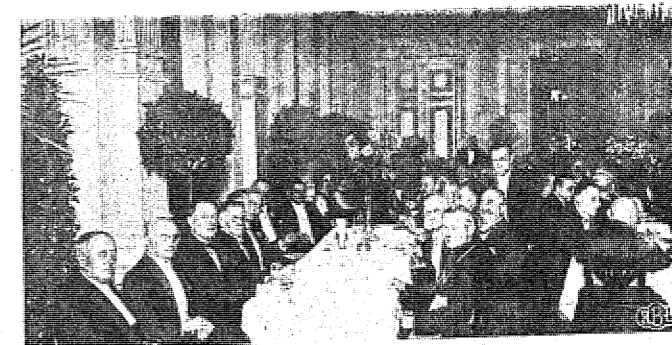
W czasie obiadu w „Tivoli“ wygłoszono szereg przemówień i wzniesiono wiele toastów. Powyżej fragment z obiadu, w głębi prezes Sądu Najwyższego p. Supiński w chwili przemawiania.



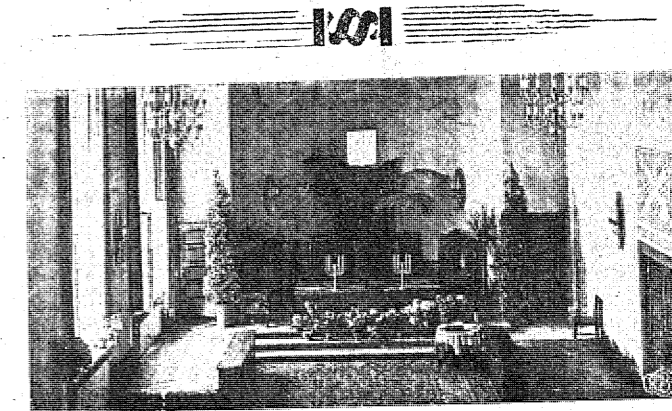
Oto jak się przedstawia nowy gmach Sądu Okręgowego w Łodzi. Na zdjęciu od strony lewej widzimy fronton olbrzymiego gmachu, na prawo zaś wnętrze głównej sali rozpraw.



W godzinach popołudniowych w salach „Tivoli“ odbył się obiad. Powyżej widzimy p. ministra Cara w otoczeniu przedstawicieli sądownictwa i władz państwowych.



W godzinach wieczorowych w salach Towarzystwa Kredytowego przy ul. Pcmorskiej odbył się raut, udział w którym wzięł również p. minister Car. Powyżej fragment z rautu.

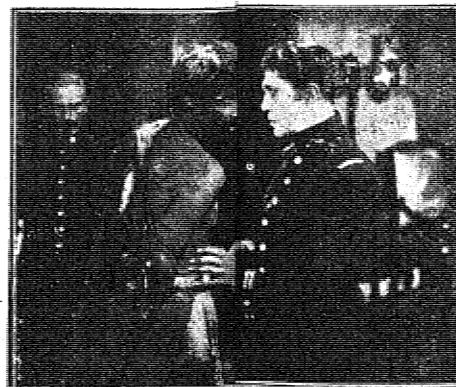




W okolicach Łodzi istnieje miejscowość zwana Wiączynem. Okolica lesista i sucha jest miejscem licznych wycieczek łodźców, spragnionych wypoczynku na łonie natury. Wielkie tereny lasów wionczyńskich są obecnie parcelowane. Powstanie tam w niedalekiej przyszłości miasto-las.



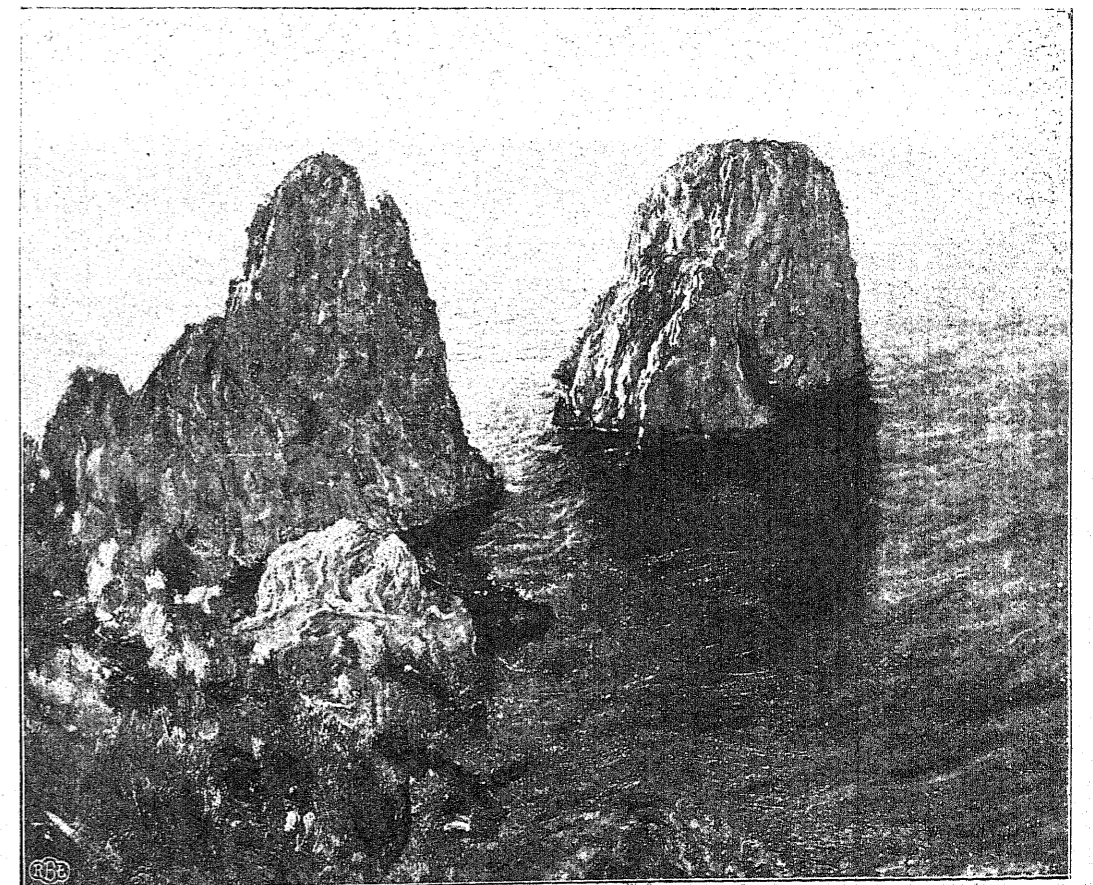
Polka — Wolińska,otka 2-aktowych dodatków nadprogramowycytwórni „Metro-Gold-



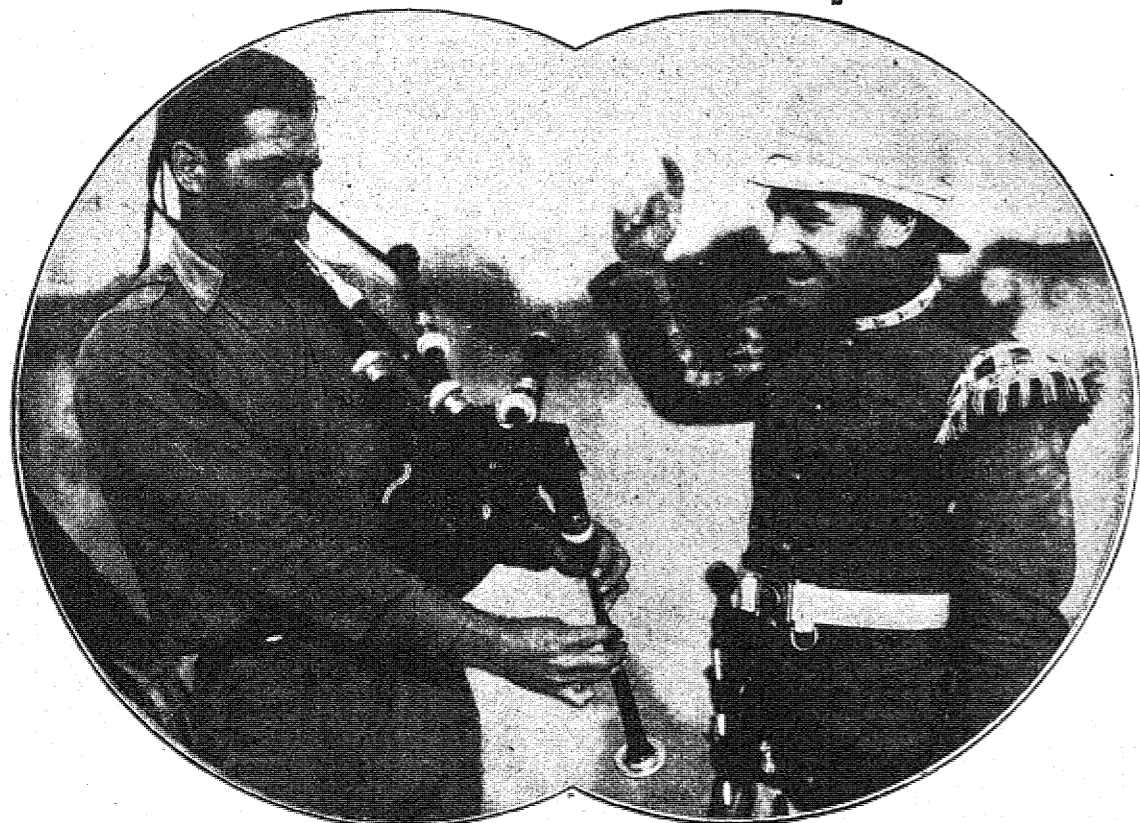
Konrad Veidt w p. n. „Truciciel”.



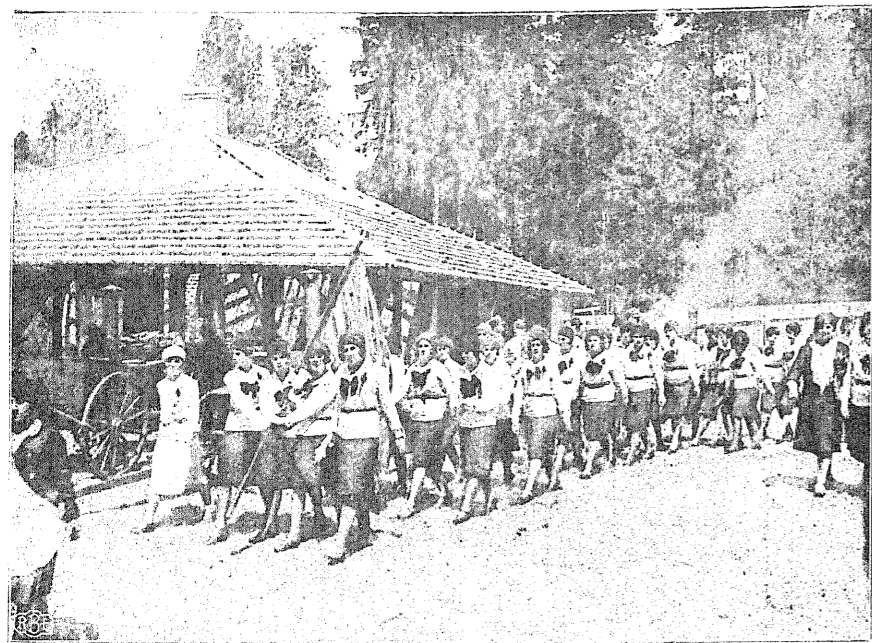
Jeden z ciekawszych fragmentów, ilustrujących lasy wionczyńskie. Trakt leśny, wiodący na przelaj — piętrzącego się zadrzewienia.



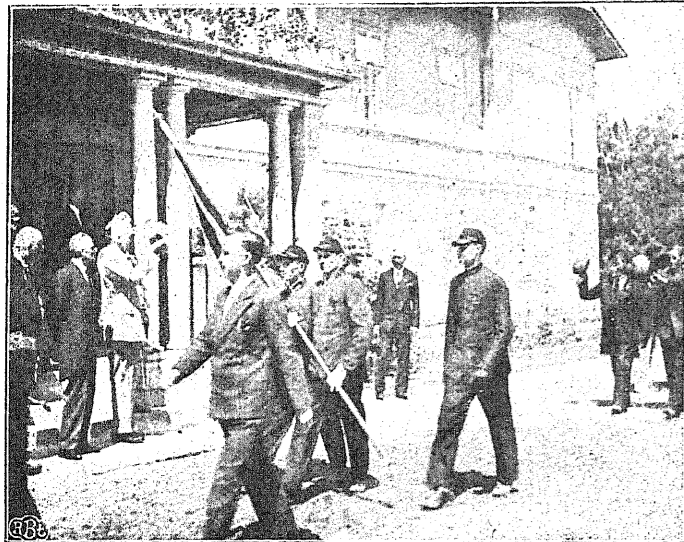
„Faraglioni” Capri-Italia studjum olejne. Malował art.-mal. Wacław Dobrowolski.



Fragment z wielkiego arcydzieła filmowego p. n. „Cztery pióra” z Richardem Arlenem.



Młodzież szkolna Łodzi dała wyraz swej sprężystości i sprawności w obliczu Majestatu Rzplitej; P. Prezydenta Mościckiego w Jego rezydencji letniej w Spale na tegorocznych popisach sportowych zorganizowanych przez P.W. i W.F. Na zdjęciach powyższych od strony lewej widzimy przemarsz oddziałów żeńskich po odbytych popisach; na prawo zaś P. Prezydenta Rzplitej wręczającego nagrody zawodnikom.



Przemarsz oddziałów szkolnych P. W. i W. F. przed P. Prezydentem Rzplitej w Spale na tegorocznym święcie sportu wem młodzieży.



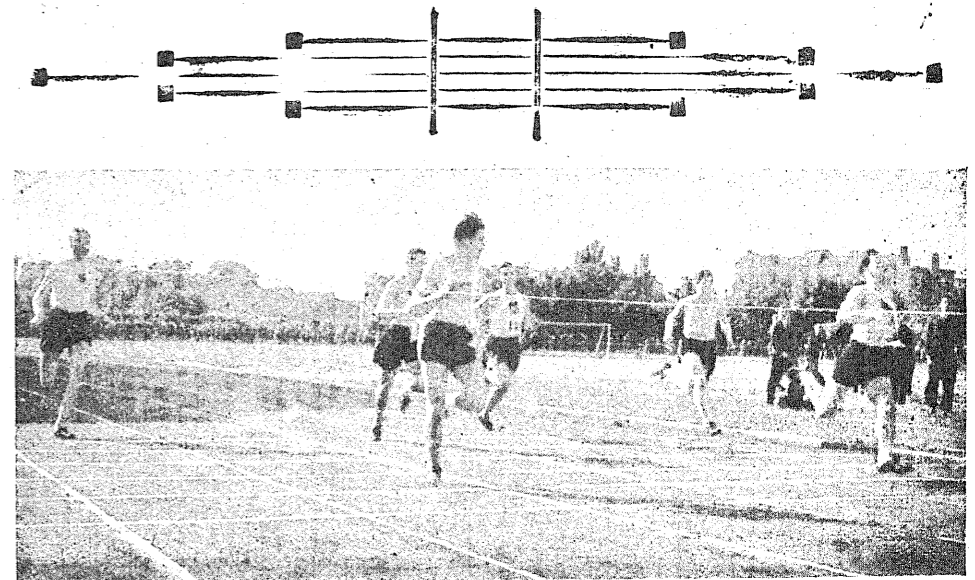
Gimnazjum żeńskie Tow. „Kultura” w Łodzi zorganizowało w dniach od 3 do 10 czerwca r. b. wycieczkę 47 uczennic do Tatr i Czechosłowacji. Powyżej uczennice z dyr. Wierzbickim i p. I. Bernitową na czele.



Wycieczka uczennic gimn. „Kultura” obfitowała w noc pięknych wrażeń. Uczestniczki jej zapoznały się z pięknem i przedziwnym krajobrazem gór oraz zetknęły się z obcym życiem na ziemiach Czechosłowacji. Na zdjęciach widzimy od strony lewej wycieczkę przekraczającą granicę polsko-czeską we wsi Jaworzyna, na prawo zaś wycieczka przed kościołem we wsi słowackiej Zdar w dniu Zielonych Świątek.



Urugwajczyk Diaz (na prawo) jest obecnie najlepszym graczem Red Stad Olimpique (Paryż).



Z nastaniem okresu letniego ożywiło się życie sportowe we wszelkich jego objawach. Szczególnem powodzeniem i frekwencją cieszą się biegi. Powyżej widzimy Trojanowskiego i Szenajcha, walczących o pierwszeństwo w biegu 100-metrowym



Bieg kobłecy w czasie święta rejonowego P. W. i W. F. w jednej ze wsi polskich.



Pani Marszałkowa Piłsudska na święcie sportu młodzieży szkolnej w Warszawie



Jak zawrotnym tempem kroczy rozwój sportu niechaj świadczą powyższe ryciny, na których od strony lewej widzimy Megro w skoku wzwyż na zawodach „Warszawianki”, w środku Petkiewicza na taśmie rekordowego biegu 3 klm., na prawo zaś Janowskiego, Miałkosa i Alesińskiego, zwycięzców w Bydgoszczy.

## Wycieczka.

— Naprawdę, droga moja, jesteś nierozsądna!

Filip Nerval nie życzył sobie, by Irena Guerlant, jego kochanka, kazała odkorkować drugą butelkę pieniącego się jabłeczniaku, koloru złotych topazów, lecz nie mógł oprzeć się spojrzeniu jej oczu, otoczonych firanką przyciemnionych rzęs — tych oczu wiecznie zdziwionych, jak oczy dziecka, które w drobne, niezręczne rączyny pragnie ująć wszystkie nieznanne mu okręty na świecie...

Kelner kawiarni w Dinard, gdzie się znajdowali, kręcący się w pobliżu, przysunął się posuwistym krokiem tancerza.

— Prawda, że jabłecznik mój jest wspinały?

Mówił „mój“ jabłecznik, czubkami wymanicurowanych palców dotykając ust, jak gdyby go sam wyrabiał.

Irena klaskała w dłonie, zlekka już odurzona tym szkodnym napojem, w którym odnajdywała zapach ojczystej Normandji, porzuconej od dzieciństwa.

— To miładnie! — zawołała zniemacka, zlekka ścisnąc dłoń Filipa, — że zapomniasz o dzisiejszej rocznicy...

Istotnie, poznali się tutaj właśnie przed rokiem, lecz jedynie kobiety dokładnie pamiętają podobne daty, by znaleźć okazję do odbierania podarunków.

Wobec tego, że Nerval roku ubiegłego, w piękny i ciepły dzień wrześniowy poznał tę piękną, tegą i pełną kobietę, było słuszne, by dziś nie odmawiał jej niczego, a więc przede wszystkim wycieczki do Dinan, gdzie dotąd nie byli jeszcze. Irena rada była zabrać stąd kochankę wobec wszystkich półnagich kobiet na plaży. Mężczyźni miewają spojrzenia tak pełne hipokryzji, gdy na wybrzeżu podziwiają uśpioną rzekomo kobiety, leżące w pozach helbeńskich na słońcu z przykniętymi powiekami.

Będąc zazdrosną kochanką, Irena nie nawidziła spacerów przez muzeum świeżego powietrza. Postanowiono zatem wyjechać do Dinan i powrócić koleją. Irena za wszelką cenę zobaczyć pragnęła wieżenie Gilles'a z Bretanii. Niewiadomo w jakiej powieści o kolorowej okładce przeczytała jego przygodę. Kobiety lubią się zawsze w romantycznych zdarzeniach, kierując się pragnieniem duszy, żadnej cudów. Wyjechali, nie dopiwszy drugiej butelki jabłeczniaku. W Dinan namyślali się długo nad wyborem jednego z woźniców o typie galijskim, zapożyczonych Stendhal'ów, odgrywających rolę Opatrzności dla turystów. — Żadni ploteczki, nie zawsze poinformować mogą podróżnych o pomnikach miejscowych natomiast nie z historii osób prywatnych nie jest im obce: wiedzą o miłości pani podprefektowej do pięknego porucznika, ostatniej przygodzie miłosnej lokalnego donżuana — aptekarza...

W końcu wybrali siwiejącego, sympatycznego i gadatliwego woźnicę, który zawiózł ich do zamku, by Irena z rozkosznym dreszczem podziwiać mogła ciemnicę, gdzie biedny rycerz spędził tyle lat w mroku wil-

gotnych murów. Przewodnik wskazał im także otwór, przez który nieszczęsnemu więźniowi podawano ńędzne — jak dla psa — pożywienie...

Co za fascynująca przygoda! Któryż z kochanków dzisiejszej doby mógłby dorównać podobnemu męstwu!

Było jeszcze za wcześnie na pociąg i ciekawość zwiedzających nie została jeszcze zaspokojona. Woźnica, zdjawszy zatłuszczony melonik, podrapał się w głowę, namyślając się nad dalszą wycieczką.

— A więc! — zawołał z przebiegłą miną — pokażę państwu coś niezwykle zajmującego. Pojedziemy do Saint - Louis!

Godzina jazdy na żółtym gościńcu, gdzie mijali ich w pośpiechu podróżni, odwracając głowy, okrywając ich kurzem i śmiesznością.

Stare fiakry paryskie, powozy na wygnaniu prowincjonalnem, noszą ślady swej walki o byt i robią wrażenie pojazdów, wystepujących na konkursie karnawałowym przed zamknięciem w muzeum pamiątek wraz z karetą pocztową Napoleona i landeni z czasów pierwszej rzeszypospolitej. Irena i Filip śmieli się wesoło z tych nowobogackich, którzy obrzucali ich pogardliwymi spojrzeniami, jako przeżytki minionej epoki.

Wkrótce już zatrzymali się przed krata, za którą zieleniły się wysokie dęby. — Woźnica zszedł z kozła, pociągnął za dzwonek u furki i portjer w czarnej czapce otworzył wrota, by powóz wjechał mógł do parku, cudownego przybytku dawnych czasów, jakby stworzonego dla miłości.

To też Filip, pod urokiem otoczenia, nie rozgniewał się za dużo, gdy jakiś mężczyzna dziwacznie ubrany, podobny do robotnika przy pracy, powstał z trawnika i zaczął obrzucać Irenę kasztanami. Głupi śmiech jego towarzyszy, siedzących na ziemi, jeszcze podkreślał czelność tego wystąpienia. Opośdał mężczyzna solidnej budowy podtrzymywał jakiegoś osobnika, który potykając się, gestykulował, jak człowiek pijany.

Woźnica uznał za stosowne wyjaśnić: — Jesteśmy w przytułku dla obłąkanych. Och! proszę się nie trwożyć. Są to spokojni wariaci.

Irena i Filip doznali ściśnięcia serca. — Gdyby nie dobrodusza mina woźnicy, byłoby go skarcili surowo, lecz było widoczne, że był szczerze dumny z pięknego położenia przytułku i chciał się nim pochwalić w zrozumiałej dumie lokalnej.

— Wracajmy — zaproponowała Irena, zaniepokojona bliskością szaleństwa.

Woźnica uderzył batem swą szkapę, która zarżała jak koń najczystszej krwi.

Tymczasem na stopień wkroczył jakiś mężczyzna, ze strony Ireny i przytrzymał się powozu. Głosem dziwnie pieszczotliwym, nazywając ją po imieniu, belkotał coś niezrozumiałego. Słowa wydobywały się niewyraźnie z jego śliniających się ust i jakiś trick nerwowo unosił kącił jego warg, jak u psa, który ugryźć zamierza. — Filip powstał, by odtrącić intruza, gdy Irena, odwracając do niego twarz pobladła, przytułiła się do niego, jęcząc:

— Mój mąż! To mój mąż!

Woźnica, zajęty poganianiem konia, nie-

odrzucał usłyszawszy szczekliwy belkot szaleńca, lecz ujrawszy go wreszcie, odwrócił się na kozle i zamierzył się na niego batem. Nie odwracając głowy, Irena krzyknęła, przerażona:

— Zostawić go! Zostawić! Nie robić mu nic złego! Jedźmy! Jedźmy stąd czempredzej!

Woźnica uderzył konia rączką bata i po wóz jak strzała pomknął ku wrotom.

Warjat z łagodnym grymasem na twarzy przyglądał się Irenie w ekstazie. Wisiał na stopniu, jak arangutang na gałęzi swej klatki w ogrodzie zoologicznym. Zniemacka głosem nosowym, przykrym dla słuchu, wyrzucił pośpiesznie słów kilka, skarykaturowaną odeszwę czułości, najświętszej i najczystszej rzeczy na świecie:

— Irenko — kochanie — nie pozwólz mnie skrzywdzić, wszak prawda?

Gdy zbliżyli się do wrót parku, na szaleńca rzucił się portjer, wstrząsając nim, ponieważ bronił się w ataku nagłej furji. Dzwonkiem przywołać musiał do pomocy dwóch dozorców. Gdy zjawili się, odprowadził zwiedzających do wyjścia, tłumacząc zająście: zdarzyło się tak po raz pierwszy. Lekarze zawsze pozwalali mu poruszać się swobodnie; dotąd był łagodny, jak owieczka.

Na powrotnej drodze Irena szlochając rozpaczliwie, pozwalając czernidłu rzęs roz płynąć się na upudrowanej twarzy, tworząc śmieszny i zabawną maskę pierotki. Woźnica, trapiiony spóźnionymi wyrzutami sumienia, nie rozumiejąc o co chodził, usiłował żartować:

— Obywatel ten nie był tak obłąkany, jak się zdaje. Zna się na ładnych kobietach!

Irena przypominała sobie, że jest ładną kobietą i poprosiła o zatrzymanie się w przydrożnym zajeździe dla „naprawienia twarzy“ i wypicia czegokolwiek

I tutaj, w wyrazach, przerywanych wzruszeniem, a może i wspomnieniami, wyznała:

Tak jest, nie powiedziała kochankowi całej prawdy, gdy opowiadała mu o brutalności męża, którego porzuciła. Opuściła go poprostu dlatego, że znudziło ją jego uczucie, którego już nie podzielała. Opowiadała jej wprawdzie, że przebywa gdzieś w zakładzie, lecz było strasznie zobaczyć go z pniąciami się ustami, larwę człowieka, potwora, podobnego do dziłkusów, produkowanych w budzie jarmarcznej... Zapomniała już o swojej krótkiej miłości dla niego, lecz teraz — po tej koszarnej wizji — wspomnienie jego jeszcze dłużej prześladować ją będzie...

Wzdychała jeszcze na powrotnej drodze z Dinan. Filip patrzył na nią ukradkiem, za kochany do szaleństwa, jak zawsze, lecz z domieszką dziwnego niesmaku, głuche go gniewu bez wszelkiej przyczyny, ponieważ chodziło o przeszłość odległą.

Cień zapadł w jego duszę, jak zmierzch na mury miasta. Po raz pierwszy poczuł przy sobie „naczynie nieczyste“ oczów kościoła, zwierzę drapieżne i syrenę zarazem, wilczyce, co stwarza potworów podobnych straszdyłu, jakie dojrzał przed chwilą.

Tłum. L. M.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VII.

Niedziela, dnia 29 czerwca 1930.

Nr. 27.

## Boże Ciało w Łodzi.



Boże Ciało, święto, które posiada szczególnie dla Polski tak wiele uroku, święto, z obrzędem którego łączą się tak wzniosłe momenty z naszej przeszłości, było w Łodzi, jak rok rocznie, świętem podniosłym. Sprzyjające warunki, piękny, słoneczny dzień sprawiły, że ulicami miasta śpieszyła cała katolicka Łódź, by zogniskować swe myśli i skupić serca pod baldachimem witary. Nieprzerwane falang! wiernych kroczyły zwarem szeregi procesyj do pobliskich ołtarzy z J. E. ks. biskupem Tymienieckim, J. E. ks. biskupem Tomczakiem, duchowieństwem i przedstawicielami władz na czele. Pierwszy widzimy kilka fragmentów z procesyj w dniu Bożego Ciała.

Fot. A. Meyer. Tel. 108-81.